

Fryderyk Mauzens.

Z BAGNA PARYŻA

9

— Można, ma się rozumieć, położyć całą paczkę banknotów zamiast jednego — ciągnął dalej Panajon. — Zapewniłam pana, że gdy podczas upałów jest wiele much, gra odbywa się nadszybczą szybko. W pewien gorący, burzliwy dzień, przegrałem w klubie w Melbourne w ten sposób trzy tysiące funtów szterlingów.

— Ile to wynosi? — zapytał baron, który wiedział, jaka jest wartość jednego funta szterlingów, lecz nie potrafił liczyć w pamięci.

— Siedmdziesiąt pięć tysięcy franków — odpowiedział Panajon.

— A jaką sumę kładli panowie przed sobą? — zapytał notariusz.

— Każdy po dwieście funtów.

— Do diabła!

— Szykowna gra!

To, co mówił Panajon, było prawdą. Historia ta nie była zmyśloną, inaczej tylko przedstawił towarzyszące jej okoliczności. Istotnie grał w tę śmieszną grę w pewne upalne popołudnie lutego. Klubem jednak było więzienie, partnerem długi taki sam więzień, jak on, a stawkę stanowiły dwa kawałki tytoniu do żucia.

— Zanim jednak zjawią się muchy — odezwał się pan Radoux — możebyśmy zaczęli swą partję pokiera?

— Zaczynamy! — odrzekł Panajon, wyciągając rękę po karty.

Piotr stał ciągle bez najmniejszego ruchu, jak posąg. Walczył z sobą, by nie pochwycić Australczyka za kołnierz i nie żądać od niego wyjaśnień. Już dwa razy młody człowiek omal nie uniósł się, raz wobec baronowej, potem wobec Maksyma Duret. Pohamował się jednak za każdym razem. Teraz jednak dawał się unosić swemu temperamentowi. Nie mógł się już opierać. Zdawał sobie z tego sprawę i postanowił odrzuć żądanie od niego wytłomaczenia. Pozostawało mu zaledwie tyle cierpliwości, aby tę rozmowę poprowadzić spokojnie.

„Korzystajmy z niej — zachęcał się Piotr. — Czuję, że za chwilę będzie już za późno... Burza zerwie się mimo mej woli!”

I hamując swe nerwy, które już niezupełnie władały, zapinając nad głosem, by nie drżał ze wzruszenia, spojrzał uważnie na domniemanego rywala, jak tasuje karty i zapytał go niespodzianie:

— Pan jest panem Turnerem?...

— Tak, ja! — odrzekł złodziej.

— Nazywam się Piotr Cartellegue.

„Sapristi! — szepnął do siebie baron. — Już się poznaliśmy!... Do czego tylko ten Piotr zmierzają?”

Notariusz zaś, który naraz jakby zeszytywniał, podniósł do góry brwi i otworzył usta i w ten sposób zdradzał swe zdziwienie połączone z niepokojem.

— Bardzo się cieszę z poznania pana! — rzekł Panajon, jak mógł najczulej. — To pan jest, nieprawdaż, naszym królem stu dwudziestu koni?

W odpowiedzi na uśmiech Australczyka młody człowiek zrobił jeszcze ostrzejszą minę.

— Tak, to ja... Na razie jednak nie chodzi o samochody... Chodzi mi o wręcz coś ośmiennego...

„Oj, oj! Coraz gorzej!” — rozmyślał z niepokojem baron i pan Radoux, który podniósł do góry ręce, jakby chciał błagać ich, by zachowali spokój.

— O coś ośmiennego? — powtórzył Panajon.

— Tak, o kobiety — rzekł Piotr — a raczej o jedną panią, o której rozmowa z panem sprawiłaby mi wielką przyjemność... Pan de Lagunan i pan Radoux nie przeszkadzają mi zupełnie... Owszem... Wolę nawet, by ta rozmowa odbyła się wobec świadków...

Piotr mówił półgłosem, tak aby go nie słyszano przy sąsiednich stołach, lecz tonem stanowczym, w którym czuć było groźbę...

— Nie sądzę panowie, że byłoby może lepiej... — zaczął pan Radoux.

— Tak... Nie sądzę panowie... — powtórzył baron.

— Przepraszam! — przerwał gwałtownie Piotr.

Potem, zwracając się do Panajona, ciągnął dalej:

— Powiem krótko: w pokoju nauczycielki panny de Lagunan zostały znalezione listy. Pocho- dzą one od pana czy nie?

— Przepraszam pana... — odrzekł złodziej. — Nie rozumiem dobrze...

— A jednak to jest bardzo proste. Była tutaj młoda nauczycielka... Znalaziono u niej listy, podpisane nazwiskiem Turner... Pytam się, czy pan je pisał?

— A poco się pan mnie o to pyta?

— Proszę nie odpowiadać na me pytanie innym pytaniem...

— Odpowiadam tak, jak mnie się podoba.

— Jak się panu podoba?

— Panowie... — błagał pan Radoux.

— Panowie... — powtórzył baron, pragnąc powstać.

Niech panowie poczekają, proszę bardzo — rzekł Piotr. — Proszę tylko o dziesięć sekund cierpliwości...

Ręce młodego człowieka drżały. Panajon widział to i miał się na baczności. Uważał, że są one cienkie, delikatne, lecz muszą mimo to być dość silne, wygimnastykowane i dość twarde z powodu ciągłego kierowania, a nieraz z naprawiania samochodów.

— Tak, panie, jak mi się podoba! — powtórzył mniemany Karol Turner.

— Zachowajmy trochę zimnej krwi! — szepnął Piotr Cartellegue półgłosem, raczej do siebie, niż do swego przeciwnika.

— Tak, tak, trochę zimnej krwi — powtórzyli jednocześnie notariusz i Raul de Lagunan.

— P tam się pana po raz ostatni — zwrócił się Piotr do Panajona.

Złodziej, udając oburzenie, zaostrzył swój akcent angielski i rzucił groźne spojrzenie na Piotra.

— Ach! Pan mnie się pyta... Lecz jakim prawem?...

— Jakiem prawem?... Panna Dubois...

— A jakim prawem pan wymawia imię tej osoby? — przerwał Panajon. — Zabraniam tego panu...

Piotr wiedział już dosyć. Australczyk wyznał w ten sposób wszystko. Ostatniem zdaniem przedstawił się jako protektor Luawiki.

Ręka króla stu dwudziestu koni podniosła się i prawie bezwiednie spadła na część twarzy. Panajon jednak, który baczł na ruchy jego rąk, dostrzegł to i ze zwinnością akrobaty nachylił się, tak, że pięć policzków Piotra spoczęło na lewym policzku barona.

Pan domu krzyknął z bólu, podczas gdy monokl jego poleciał w przeciwną stronę pokoju. Piotr również krzyknął. I czterej partnerzy powstał tak gwałtownie, iż stół zachwiał się i kan- delar potoczył się na podłogę.

Przbiegli inni gracze. Jedni schwycili za ramię młodego człowieka, który wyrwał się, pragnąc przeprosić niewinnie uderzonego i naprawić swój błąd przez wymierzenie drugiego cenniejszego policzka swemu przeciwnikowi. Drugi pośpieszył do barona. W jednej chwili zjawiła się i cała masa osób z salonu, zapelniając pokój do gry.

Ze wszystkich stron krzyżowały się ciekawe pytania i pośpieszne odpowiedzi.

— Ktoś oszukiwał w grze?

— Zapewne.

— Ależ nie. Wcale nie.

— Twarz barona jest zaczerwieniona. Czy to on dostał policzek?

— Nawet porządny!

— Od Piotra Cartellegue'a!

— Za co?

— Za nic!

— To niemożliwe!

— Owszem! Policzek ten był przeznaczony dla sąsiada barona.

Piotr wołał do Karola Turnera:

— Jesteś pan nędznik!

— Ach! — odpowiedział Australczyk. — Nędznik, ponieważ uniknąłem pańskiej napaści?... Pan chciał, bym panu nadstawił oba policzki, jeden po drugim?... Ja nie jestem nędznikiem... lecz pan jest niezgrabiaszem...

— Panie baronie! — zwrócił się młody człowiek do pana domu. — W jaki sposób będę mógł pana przeprosić?

Zjawił się tam także Julian Maixent i Maurycy de Terrade. Amerykanin lokciami robił sobie drogę. Inżynier szedł za nim. Maksym Duret pospieszał również. Kamilla, stojąc przy drzwiach, nie śmiała posunąć się naprzód, podniosła się tylko na palcach, by lepiej widzieć. Pani de Lagunan pozostała w salonie. Zaciskała ręce i cała drżała. Ten nagły hałas, który wybuchł w chwili, gdy najwięcej obawiała się skandalu, naprowadził ją na myśl, że wszystko już się odkryło. Powstała i oparła się o kominek. Z alazła zaledwie tyle sił, by móc stać.

— Gdy tylko będę mogła się ruszyć — rzekła do siebie — zamknę się w swym pokoju i zabiję się... Flakonik i udanum, który mam u siebie, uwolni mnie od wszystkiego...

Słyszała i widziała jakby we śnie, jak goście wchodzili i wychodzili z gabinetu, zbliżali się do niej i coś mówili... Myślała tylko o flakoniku, którego zawartość musi połączyć. Nagle ukazał się Maksym Duret i Panajon. Wuj miał swą zwykłą i wyniosłą minę. Głowę niósł teraz jeszcze wyżej zadartą, niż zazwyczaj. Towarzysz jego szedł pełen godności. Zbliżyli się do baronowej.

— Drobny wypadek — rzekł filantrop. — Wytłomaczę ci go potem...

Widząc zaś błędny wzrok swej siostrzenicy, dodał jeszcze:

— Nic poważnego... Uspokój się...

Złodziej skłonił się nisko i rzekł:

— Proszę pani przyjąć wyrazy mego głębokiego poważania i żalu z powodu tej sceny, za którą zresztą jestem zupełnie nieodpowiedzialny...

Baronowa podała machinalnie rękę temu panu we fraku, który z taką elegancją chylił przed nią swą głowę. Panajon podniósł rękę jej do ust i pocałował.

— Do jutra, moja droga — rzekł Maksym Duret. — Chodźmy Turner.

I obydwaj mężczyźni wyszli z salonu. Teraz dopiero baronowa przekonała się, że się myliła. Nie stało się jeszcze to, czego się obawiała. Nie potrzebowała umierać samobójczą śmiercią. Poważano ją jeszcze jako kobietę światową, wpływową, bogatą i uczciwą... Powstrzymała się jak e jej napływały do oczu i nerwowy uśmiech, który skrzywił jej twarz. Przez chwilę sądziła, że oszaleje. Potem westchnęła i opadła na fotel.

— To nic... — rzekła do osób, które się koło niej krzątały.

Napięcie nerwów już słabło, kryzys minął. — Raul de Lagunan udał się do swego pokoju, by natrzeć policzek świeżą wodą. Amerykanin mówił niezadowolonym tonem do Piotra Cartellegue'a:

— Hallo! Nie jesteś mężczyzną. Zachowałeś się jak dziecko.

Tymczasem Maksym Duret i towarzysze jego stali na ulicy, przyglądając się wspaniałemu samochodowi, który czekał na nich przed pałacem Baronostwa. Był to samochód, wynajęty na mi- siąc przez Panajona.

— Pan przyzna — tłumaczył złodziej — że nieodpowiedniem jest dla Karola Turnera, aby jeździł dorózką...

— A co to za człowiek w liberji koło szo- fera?

— Mój słuzący.

— Pan wziął słuzącego?

— Przecież jutro przenoszę się z hotelu do własnego mieszkania! Czyżby pan chciał, by mi usługiwał przekupień maronów z rogu ulicy?

— Nie, nie... Bardzo dobrze... — zgadzał się filantrop.

Do siebie zaś szepnął:

— Cokolwiek za kosztowne ma on wyma- gania!

Przekonał się, że nie potrzeba zachęcać go do wydatków.

— Będzie mi pan towarzyszył aż do Tuile- ries-Palace? — zapytał Panajon.

— Tak.

Obydwaj mężczyźni siedli do samochodu, który też zaraz ruszył.

Panajon po drodze odpowiedział szczegółowo wszystkiemu, co zaszło między nim a Piotrem.

— I oto w jaki sposób — rzekł, kończąc swe opowiadanie — winien mi jest pan sześćset luidorów!

— Sześćset luidorów?

— Niech pan policzy... Pięćdziesiąt luidorów za policzek...

(Ciąg dalej nastąpi).